



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW



43. WIEŚ LITEWSKA POPILIKALNIS NAD JEZIOREM UKAJ POW. ŚWIECIAŃSKI

fol. K. Kulwiec.



ZYGMUNT GLOGER

8)

(Garstka wspomnień osobistych w pierwszą rocznicę zgonu).

Organizacja klasztorów w tempie poszła szybko, w chwili bowiem, gdy piszący te słowa został mianowany archiwistą klasztoru boblickiego (1875), rubrycelą nadesłana z Mzurowa następujące wyszczególniała klasztory: w Będzinie (gwardyan o. Adolf Grabiański), Mzurowie (gw. o. Faustyn Świderski), w Jaworzniku (vacat), Bobolicach (gw. o. Adolf Gadomski), w Dąbrowie Górniczej, (gw. o. Michał Matuszkiewicz), w Niegowonicach (gw. o. Ludwik Grabiański), w Grójcu (vacat), Łysej-Górze (gw. o. Józef Zawisza), oraz dwa klasztory bernardynek: (Pieczęć wyobrażała serce na wylot prześzyte strzałą z napisem w otoku: „Sigil. Bernard. Amor et Amicitia”) w Mzurowie (ksieni m. Faustynowa Świderska) i w Bobolicach (ks. m. Antonina z Broniewskich Gadomska).

Wnet po ostatecznym urządzeniu klasztorów życie towarzyskie jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wskrzesiło na nowo. Ludzie zaczęli się zjeżdżać po dworach, dworach, plebaniach, porozumiewać w sprawach gminnych, ekonomicznych, radzono nad oświatą ludową, wychowaniem dzieci... Rzadko kiedy święto, odpust, imieniny w sąsiedztwie i t. p. przeszły bez zjazdu bernachów. Brano przytem z bibliotek klasztornych książki, wymieniano pisma. Okiem widzącem za wszystkich było naturalnie oko niezmordowane czynnego gwardyana mzurowskiego. Pióro jego nie zasychało nigdy, latały nieustannie jego pełne humoru kurendy, zawiadomienia, nominacje, reskrypty, odezwy. Krzywdy i niedole bernachów w sercu jego szczególny odgłos miały; w razach takich poruszał ziemię i niebo, przemawiał gorąco do uczuć, wyzyskiwaczom rznął bez osłonek verba veritatis, wydziercom groził paskiem ś-go Franciszka, kłutwą lub krucyatą. Żartować z bóstwa młodzieży nie można było, bo w ostateczności groził pojedynek. Na każdym o. archiwście najwięcej skrupiało się zająć: korespondencja, ekspedycja papierów, kopiowanie, wszywanie do akt niezliczonych odezwy...

Akta klasztoru boblickiego, wyjeżdżając w r. 1877 z tamtych stron, na wieczną czasów pamiątkę zabrałem ze sobą. Czy trwały i rozwijały się w dalszym ciągu wesole bernachów klasztory i czy po zgonie (cześć i łza mu tutaj!) autora słynnej „Wojny owadów przeciw prof. Wadze” ocalały pozostałe archiwa, do przerzuconego o sto mil na Litwę ex-bernacha w przeciągu lat 30 nie doszła wiadomość.

Prowiantowanie i wogóle „bezpieczeństwo ciała bernachów” było atrybutem władzy wojskowej. Z gorliwości w spełnianiu tego obowiązku słynął właśnie przed innymi nasz gospodarz, „sztabs-kapitan” klasztorny, ks. Klemensiewicz, i to tak dalece, że o najlepszy go humor przyprawiało, gdy gości po libacyi iście „trybunalskiej” organista z zakrystyanem wynosili na bryczki kolejno pod pachy... Tym jednak razem naszego Nemroda w sutannie spotkał srogi zawód, bo za przykładem Glogera cała kompania utknęła na „drugim” tak, że nawet tego rodzaju zachęty jak: „Omne trinum perfectum!” „Osoba godna pije do dna”—na nic się nie zdały. Tokaj złoty w kieliszkach próżno oczy nęcił...

Jak z bata trząsł przeleciał czas na wesolej rozmowie i północ już szła wielkim krokiem. gdyśmy po spożyciu wieszery pożegnali gościnne progi plebanii niegowskiej.

Wież opuściwszy, jechaliśmy koło samego dworu. Mieszkało w nim trzech braci Kobierzycznych; wszyscy trzej zwolennikami byli celibatu, niedobitkami ciężyzny, do szabli, rusznicy jedyni.

W rok niespełna służyłem jednemu z nich, p. Wacławowi, w sprawie honorowej z p. R. w roli sekundanta i od tej chwili raz na zawsze mir sobie pozyskałem w gronie rówieśników. Czego nie dokonała orka gęsią, sprawiła awantura. Rys charakterystyczny i wielce znamienny.



Po latach kilkunastu, brat stryjeczny p. Wacława, słynny rębacz, p. Przemysław Kobierzycki, za obelgę rzuconą w twarz społeczeństwu naszemu wypoliczkowawszy w Kaliszu, wyzwiał syna serbskiego prezesa ministrów, in-spe królobójcę, Michała Risticza. Trzykrotnie w lasku pod Szczypiornem się składając, p. Przemysław trzykroć młynkiem wytrąca mu szablę i: „Podnieś błażnie! — odzywa się krótko a dobitnie. Widząc, że nie przelewki, Risticz nogi za pas i zmyka, ale Kobierzycki w trzech susach trzyma go już za kołnierz, i wyplazowawszy, co się zowie, zgina kark i: „Całuj — rzecze — ziemię polską, bo łeb ci tu zetnę!” I serb w mgnieniu oka spełnia szlachcica żądanie, a po 24 godzinach, zmuszony przez korpus oficerski, podaje się do dymisy i mknie do Belgradu. Prawda bez ubawień. Rodem kurki czubate!

Noc była ciepła, jasna, księżycowa, natura zdobna w bujną roślinność przydrożnych gór, sprawiała ziemskie podobieństwo raj.

Gloger unosił się nad ziemią, nachwalił ją nie mógł ludzi.

W pół godziny potem, minąwszy Ogorzelnik, stanęliśmy pod gankiem zdowskiego dworu.

Nazajutrz, za ledwie różowa Aurora dotknęła srebrzystymi palcami jaśniejących dnia wrót, już konie nasze, założone do lekkiego węgierskiego wózka, ze wsi wypadłszy, pięły się niby kozy ku pobliskim na płaskowzgórzu położonym Huciskom. Poza tą wsią, tuż przy karczmie, wjechaliśmy na szosę krakowską, z jurajskiego ubitą wapienia, i tu nagle, skręciwszy na zachód, z kopyta ruszyliśmy ku wsi kościelnej Kroczycom. Łańcuch skał Kroczych w stronie południowej łączy się z grupą skalną skarżycką, a wschodnim końcem przypiera do grupy rzędkowskiej.

Rada w radę, postanowiliśmy w drodze bez odkładania na dzień trzeci uporać się z całym pasmem od jednego zamachu. Nóg swoich byliśmy pewni, reszta frachy. Pierwszem wszak natarciem Madaliński bijal!

W Kroczycach tedy, zjechawszy z szosy, przebyliśmy gęsty las liściasty i pod Skarżycami wysiedliśmy z bryczki.

Z niemałym wysiłkiem fizycznym połączone było zwiedzanie tych skał, bo wszystkie wówczas gęsty las pokrywał. To też wycieczka ta zakarbowwała się w mojej pamięci niesły-

chanem zmęczeniem. Wdrapywanie się na skały, gęstym obrośnięte lasem a przytem w wielu miejscach z utrudnionym dostępem, było wielce pracowite. Za to rozległy widok, jaki się z nich hen aż po Śląsk i Tatry rozciąga, trud poniesiony całkiem wynagradza. Złani potem, u podnóża tajemniczych ruin zameczku morskiego¹⁾, zajrzawszy do sakwy podróźnej, zrobiliśmy sobie krótki odpoczynek. Wielka, swobodna i uroczą wśród lasu cisza, pokrzepiwszy ducha, wzmocniła energie.

Na terytoryum rzędkowickiem stanęliśmy jeszcze przed południem. Do pośpiechu głównie przyczyniły się konie, posiłkowaliśmy się bowiem wszędzie nimi tam, gdzie w ugrupowaniu skał były znaczne przerwy. Na samym wstępie tutaj śmignął nam w poprzek drogi błyskawicznie sarnik; a w lasach tych i przyległych więcej ich było wówczas niż gdzieindziej zajęcy.

Z całego łańcucha tych skał, na szczególne wyróżnienie zasługuje grupa rzędkowicka. Pamiętać o tem powinni wędrowcy, co te strony zwiedzają. Na stosunkowo niewielkiej przestrzeni oryginalne ukształtowanie tych olbrzymów kamiennych jest takie, że niczem Ojców. I palmę pierwszeństwa Rzędkowice z pewnością zdobyły, gdyby u podnóża tych pustynnych skał przepływał wartki jakiś strumień górski. Niestety jednak, wody tu brak dokuczliwy i to do tego stopnia, że mieszkańcy niektórych wiosek okolicznych beczkami ją zdaleka przywożą. Życzenie więc nasze na jedno wychodzi, co... chcieć morza dla przysłowiowego Samborza!

Rękawicę opuściwszy, wdarliśmy się na Okiennik, skąd widok jest zachwycający. Masz tu, jak na dłoni, Kraków, setki wsi, dworów, miast, wreszcie na samym nieboskłonie Giewont, Babią Górę, Łomnicę w kształcie obłoków niewzruszonych, całutki łańcuch olbrzymów tatrzańskich. Tysiące piękności staje ci co chwila przed oczyma, aż w końcu następuje jakiś przesyt, bo czujesz, że ani oko twe, ani głowa zachwyceniu wystarczyć nie zdołają.

¹⁾ O przeszłości tych ruin w kronikach naszych niema nigdzie wzmianki. Lud tylko okoliczny utrzymuje, że mury te były niegdyś gniazdem rozbójników. (Podania te w artykule p. n. „Ruiny Morska”, były umieszczone w r. 1876 w Nr. 54 „Coty Kieleckiej.”)



Niespełna o pół wiorsty od Okiennika, w stronie południowej, białe ściany dworku rzędkowickiego, w którym wówczas mieszkał właściciel jego, b. oficer I pułku ułanów wojsk polskich, zwany przez nas wszystkich „majorem”, p. Adam Bieniecki. Szczęście to wielkie urodzić się na tej ziemi naszej, ale nie mniejsze żyć w kole ludzi godnych czci i atmosferze pełnej szczytnych ideałów, odzywających się w duszy wrażliwej do grobowej deski!

Jednym właśnie z ludzi, co umieli wzbudzać miłość i szacunek, był major Bieniecki. Średniego wzrostu, o nosie orlim, przystrożonym wąsami, twarzy marsowej, pan major w czarnym swym halsztuku był wierną kopią wszystkich naszych wojskowych, co to serce nosili wysoko, ubóstwiając honor. W mowie i ruchach tego czerstwego starca było coś rzetelnie szczerego; umiał zganić, ale umiał przytulić i serdecznie pochwalić młokosa, chwycić go za serce, zapalić słowem, nieraz gestem jednym. O tak, bo nikt tak nie umiał i to w porze najstosowniejszej rzucać szczypty siarki na żar młodej duszy; ileż orkanowych wrażeń wyniosło się z jego opowiadań, po których częstokroć jak w ogniu się chodziło z całą świtą marzeń!...

Nieźrównany w swym humorze gwardyan z Mzurowa, zalecił jednemu z pierwszych majorowi, „aby wziął abszyt z wojskowym wawrzynem”, i nadesłał mu na patra bobolickiego nominację, rozkazując „ostrogi natychmiast na piec zarzucić, trepy wdziać na pięty”.

Bieniecki, wdowiec bezdzietny, z usposobienia był bardzo towarzyski, z gościnności słynął. To też Ex-bocian często pod jego strzechę zaglądał i my wszyscy młodszy.

Wzruszające się tu nieraz sceny odbywały, zwłaszcza w pewne dni, rocznice—i naprzemian zabawne. Nigdy nie zapomnę, gdy na Adama, po wygłoszeniu przez bernachów życzeń rymowanych, rozrzewnił się solenizant i z nim wszyscy razem. Gospodarz z gośćmi w bratnie rzucili się objęcia, owacyom końca nie było. Natomiast na sesjach bernachów niewyczerpany w pomysłach Ex-bocian sprawiał, że najpoważniejszym nieraz aż się brzuchy trzęsły.

Słynne było naprzykład w sposób mistyfikacyjny wyzwanie na pistolety dwu tchórzem podszytych młodzieńców. Obaj przez miesiąc do celów waląc, wystrzelali bezmiar kul i prochu, aż qui pro quo wyjaśniło się w rzęd-

kowickim dworze, w którym nieprzygotowani całkiem na spotkanie suto węgrynem obleli nieporozumienie.

Nieco przydługo rozpisałem się o Rzędkowicach i ich gospodarzu, ale nie widać już w Polsce ludzi tego typu, niech więc żyją w tradycji.

Wracając do rzeczy, wypada nadmienić, że w chwili, gdyśmy pod Okiennikiem z Glogerem stanęli, z zarośli doleciał nas wystrzał. I naturalnie, ani nam myśl błysła, że był to sygnał miłej niespodzianki, przez Ex-bociana przygotowanej do wspólki z majorem.

A teraz zbierzcie się rozpierzchłe myśli, abym mógł urokiem lat młodszych przedstawić obraz sceny za chwilę tutaj rozegraną.

Zapatrzeni z Glogerem w tysiące piękności, nie zauważyliśmy trzech bryczek krakowskich, szybko ku nam pędzących wśród tumanów pyłu. Nie turkot, którego na piasku nie słyszeć, lecz gwar, jaki się o uszy nasze naraz obił, oczy nasze zwrócił w tamtą stronę. Bryczki były już tak blisko, że jadących z łatwością można było poznać. Na pierwszej major ze Świderskim, na drugiej trzech bernachów z sąsiedztwa, na trzeciej praktykanci-adjutanci majora z pobliskich Włodowic. Zbliżywszy się, powstawali, wywijając czapkami! Na ukłony ukłonem odpowiedziawszy, skoro pod skałą stanęli z okrzykiem: „Wiwat Gloger, prosimy!”, szybko spuściliśmy się do nich z Okiennika. Po przywitaniu i zaznajomieniu Świdorski zwrócił się do Glogera i po krótkiej przedmowie, wypowiedzianej z charakterystyczną dobitnością, oznajmił mu, że na mocy zapadłego postanowienia w dniu dzisiejszym mianowany został gwardyanem bernachów na Podlasiu, w Jeżewie. Poczem, wyjąwszy z bocznej kieszeni rękopis, poprawił okularów i jął czytać dowcipnym rymem skreśloną nominację.¹⁾

„Nominatio Illustrissimus ac Reverendissimus
Pater Sigismundus Gloger Gvardianus Bernardino-
rum in Jeżewo.

Zapewno nie wiesz o tem, że w naszym powiecie, Gdzie człeka przy łzach górkich ciężka bieda gniecie, By wesołość sprowadzić pod pocziwą strzechę, Jak możemy tak sobie robimy uciechę.

1) Przytaczam tu jej czołowny odpis z akt bernardyńskich wyjęty.



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



44. Z OKOLIC ZŁOTEGO POTOKU.

Fot. J. Niekrasz.

Zważywszy, że świat głupi, głupie na nim życie,
Że nieładnie we fraku, a lepiej w habicie,
Ażeby był pożytek tak z ojców jak z synów,
Założyliśmy sobie Klasztor Bernardynów.
Słyszac dawno o Tobie zdaleka i zbliżka,
Że lubisz starożytność i wykopaliska,
Że masz serce pocziwe, delikatny rozum,
Że możesz gdzie wynaleźć Vitrum Gloriosum,
Do którego gdy człowiek usta swe przylepi,
To i humor poprawi i myśli pokrzepi,
Napędzi sił do duszy, do głowy oleju,
Z tych więc ważnych powodów Mości dobrodzieju!
Mianuję Cię Gwardyanem Bernachów w Jeżewie.—
Ale — musisz nasamprzód pomyśleć o Ewie;
Bo bernardyn nie może, bardzo oczywiście,
Siedzieć na swoich śmieciach, jak singelton w wiście,
A kiedy z łaski Boskiej już trzydziestki blizki —
Nie mieć w domu kobiety i z jednej kołyski. —

Podstarzały kawaler — najnudniejsze z stworzeń,
Zatem Mości Zygmuncie! zaraz mi się ożeń.
Weź niewiaścę pocziwą, prześliczną jak Gracyę,
Będiesz miał i porządek i subordynacyę;
Będzie pociecha z dziątek, szczęście z kobieciny,
Ja tam zaraz przyjadę do Ciebie na chrzciny,
Wypiję Wasze zdrowie jednym silnym łykiem,
A kropla nie zostanie w kielichu pewnikiem”.

X. *Faustinus Świdorski*
Gvardianus Bernardinorum mp.

In Nomine L. S.
etc. etc.

Petrus Marcinkiewicz
Organista mp.

Dat. Mzuroviae A. D. etc.

Petrus Włodek
in Gorzkovia, Trapista mp
Martinus Zarankiewicz
Kalicantus mp.]
etc. etc.



Po chwili, gdy Ex-bocian zamilkł, naraz za przykładem majora wszyscy obecni huknęli, wywijając czapkami: Vivat! a jednocześnie alter ego starego, Wojciech, stojąc opodal, wypalił dwukrotnie z dwururki. Nie zamilkły jeszcze na cześć dziękującego Glogera wiwaty, gdy zjawił się w te pędy przyniesiony z bryczki gąsiorek z kielichem.

Przepił major do Glogera, Gloger do Świderskiego, i skoro kielich kolej obszedł, znów gromki Vivat i huk wystrzałów rozdarł powietrze. Raz, drugi i trzeci, gdy młodzież nowomianowanego gwardyana uniosła do góry.

„Panowie, nie zapominajcie, przyskakując do majora odzywa się Gloger, — że kto, jak kto, dzielny wojak przedewszystkiem zasługuje na taką owacyę!” Wszyscy więc porywają wiarusa z okrzykiem:

Ra, ra, ra, ra, ra, ra, ra!

Do góry majora!

i wznoszą wysoko, po nim serdecznie wyścisławszy umiłowanego Ex-bociana.

Od okrzyków radosnych grzmiał cały las i echo niejednokrotnie obilo się o skały.

O złoteż, pełne zapachu młodzieńczego chwile! Nie dziw, żeście się tak głęboko w mej zakarbowały pamięci...

Zaraz po tej owacyi najserdeczniej przez majora zaproszeni, znaleźliśmy pod jego zacną strzechą staropolską, bez żadnej wystawy, ale za to chwytającą za serce gościnność. Po obiedzie całe grono, buchając dymem cygar, wyszło na ganek, gdzie naprzemian, to gospodarz wydobywał moc faktów z prochu niepamięci, to Ex-bocian znajdujący się w apoteozie swego dowcipu. Przednie były jego wspomnienia, zwłaszcza z epoki Wolnego Krakowa: o policmajstrze Gucie, z życia akademicko-literackiego i wiele, wiele innych.

W końcu tej uczty duchowej wniesiono napelnione złotym węgryzmem kielichy i „Czy przy uczcie, czy przy pracy” — wzniesiono owo nasze: kochajmy się, rodacy! W rzewnym uniesieniu serdecznie się całowano, rzucano się w objęcia.

Dziś, po latach trzydziestu sześciu, z biesiadującego tego grona, w którym tak mocno dla Polski biło serce, krom piszącego wszyscy, nawet najmłodszy, na wieczystym urlopie...

Gwardyanie! Majorze! i Ty, Glogerze! Zaczni, kochani. Możeż wam tam niebo zastąpić ojczyznę?

Hej, lzy się kręca!

Ale komu w drogę, temu czas. Z żalem tedy pożegnawszy naszego dzielnego majora, ruszyliśmy dalej.

Najbliższa droga do książęcej stolicy biskupów krakowskich prowadzi przez Włodowice. Z Rzędkowic do tego miasteczka nie więcej nad pół mili. Mury pałacu, bieląc się zdala, nad całą dominującą okolicą.

Rozległe dobra włodowickie¹⁾ w czterech ubiegłych stuleciach należały do Bonarów, Warszycich, Taszyckich i wreszcie w wieku XVIII przeszły na Męcińskich. Ostatnim dziedzicem z tego rodu był słynny oryginał na warszawskim bruku, który całą swoją fortunę utracił na proces z paulinami częstochowskimi o zwrot domniemanych skarbów, złożonych jakoby w klasztorze jasnogórskim przez jednego z antenatów w wieku XVII. W początku ubiegłego stulecia dobra te nabyli Szembekowie, a od nich po kądzieli przeszły we władanie Poleskich.

W czasach, o których piszę, dziedzicem tych dóbr był p. sędzia, Józef Poleski, żonaty z rodzoną siostrą generała wojsk polskich, Pawła, Ludwiką hr. Szembekówną. Starzy państwo Polescy mieszkali pod Zawierciem w Rokitnie Szlacheckiem i:

„Kopę lat przeżyli razem obok siebie, W serdeczności, kochaniu, gdyby dusze w niebie”.

Pani Poleska najistotniejszym była typem matrony polskiej, w sercu której przechowywały się najdroższe skarby narodu, niby w arce bożej. Oboje sędziostwo szli przez życie, czyniąc dobrze. Dom ich dla młodzieży obok uczania, szkołą był oglady towarzyskiej i wielu przymiotów. Jedyń syn państwa Poleskich, p. Michał, wychowaniec warszawskiej szkoły realnej i akademii rolniczej w Grignon pod Paryżem, mieszkał w Włodowicach. Światły agronom, a przedewszystkiem naturalista, rozmiłowany w krajoznawstwie, był wówczas p. Michał pra-

¹⁾ Lasy włodowickie ciągną się na przestrzeni trzech dystansów kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, od Poraja do Myszkowa.



wdziwie dobroczynnem ogniskiem, wkoło którego mogli się ludzie należycie ogrzać i oświecić.

Wzniesiony w wieku XVII jednopiętrowy, pod dachem łamanym, obszerny o kilkudziesięciu pokojach pałac włodowicki, miał schody podwójne i obszerny na arkadach przedsionek. Na piętrze były w tym gmachu komnaty zdobne w malowidła i ścienne makaty, w których wszystko od wieku XVIII stało nienaruszone. Inne poprzerabiane były na laboratoria chemiczne i fizyczne, bogato w przyrządy zaopatrzone, a jeszcze inne mieściły bibliotekę, bilardy i bogate zbiory. Księgozbiór zawierał do dziesięciu tysięcy tomów, a dział w nim przyrodniczy imponująco się przedstawiał i miał cenne dzieła. Geologiczna kolekcja minerałów krom okazów obcych mieściła wszystko, co się w ziemi i na ziemi, jak Polska długa i szeroka, znajduje. Obok tego zasługiwał na uwagę zbiór flory krakowskiej, zaherboryzowanej w olbrzymich zielnikach. Z pamiątek i starożytności, pamiętam, było sporo broni i zbroic, prześliczne biurko mahoniowe po ks. Józefie, laska ofiarowana przez emigrację ks. Adamowi Czartoryskiemu, z miniaturką, w galce przedstawiającą żołnierza naszego, miecz katowski m. Włodowic, sporo miniatur, orderów, drobnych pamiątek i bogaty zbiór numizmatyczny, w skład którego wchodziły najrzadsze tylko srebrne i złote monety polskie. (Galerya obrazów, przeważnie złożona z portretów, znajdowała się w Rokitnie, gdzie literalnie zakrywała wszystkie ściany jadalni i przyległych pokoi od stropu do ziemi. Niektóre z nich, jak np. portret naturalnej wielkości kanclerza Szembeka, obudwu sasów, Stanisława Augusta, generała Piotra etc., wybornie były malowane. Szczegółów jednak bliższych o tej galeryi, po tylu latach, podać już nie mogę).

Tu, wśród tych murów poważnych, przyjaciół i kolega Milicera, pan Michał, otoczony sztabem praktykantów, był w swoim żywiole. Codziennie odbywały się pogadanki, wykłady, odczyty, mierzono pola okoliczne, pracowano w laboratoriach, czyniono spostrzeżenia meteorologiczne. Stosunek między młodzieżą a przewodnikiem prawdziwie był serdeczny; po zajęciach i w dni świąteczne wśród gwaru młodzieńczego stukwały bilardowe kije, fechtowano się, strzelano do celu. Wyruszano wreszcie od czasu do czasu na wycieczki naukowe w bliż-

sze i dalsze okolice, do Rokitna urządzano kuligi. Działalność wysoce kulturalna pana Michała Poleskiego z wielu względów zasługiwała na niniejsze wspomnienie.

Przejeżdżając przez rynek włodowicki, dosłyszeliśmy dźwięków oberka z pobliskiej austeryi:

„....Skrzypka rżnie wciąż i przygrywa,
A bas w ład jej tuż, tuż, tuż,
Wtórem pomrukiwa...”

Zwróciwszy się do mnie, Gloger z uśmiechem mrugnął okiem znacząco w stronę karczmy i kiwnął głową. Nie mnie było powtórnie dawać podobne znaki. Kiwnąwszy tylko głową, odmrugnąłem mu okiem. Zrozumieliśmy się! — muzyka była wedle nóg naszych. Więc: stój! — klapnąwszy Stacha w ramię — zatrzymaj konie! Chłopskie to było wesele. Gdyśmy weszli, wnet państwo młodzi z całą drużyną obścibali nas, prosząc o błogosławieństwo. Po złożeniu życzeń, obadarzywszy, ile nas stać było, z przyjemnością obserwowaliśmy ruchy dziarskich taneczników, pieszcząc uszy dźwiękiem tak miłych, bo swojskich melodyi.

Gloger tylko ludową i narodową muzykę pojmował i cenił. Za wszystkich razem wziętych Beethovenów, Czajkowskich i Bachów, nie oddałby nigdy w świecie jednego marsza lub mazura. A za nim i ja również do ignorancyi podobnej mam czelność się przyznać...

Mrok nocny ziemię już zaczął pokrywać, gdyśmy do Siewierza wjeżdżali. Więc do zajazdu, oczywiście; inna nie służyła rada. Nazajutrz, po zwiedzeniu ruin, Gloger zabrał się do ich rysowania, ja tymczasem do ł y k ó w znajomych puściłem się w odwiedziny, które mi przyniosły kilka ciekawych nabytków. Po obejrzeniu kościoła, zamarudziwszy na plebanii, zaledwo o południu znaleźliśmy się na kromołowskim gościńcu. Powietrze od wczoraj nagle się zmieniło, było parno, duszno nie do wytrzymania. Burza wisiała, ale pocieszałyśmy się, że przejdzie strunami. Chmury od południowego zachodu zaczęły powstawać coraz czarniejsze. Ujechaliśmy milę, może półtorej, wśród ciszy bez wiatru i błyskawic, tylko potwór czarny biegł prosto na nas z przerażającą szybkością. Naraz huk niby z setek armat i wnet świstać zaczęło, a szumieć straszliwie, jakby piekło całe wyległo na wszeteczne harce: A do kroćset dyabłów rogatych! Wał, Stachu, do Kmity!



Trzech świętych było w prowincyi bernachów: „nieśmiertelny” o. Wielogłowski, który w r. p. 1816 ze względu na wiek podeszły z emeryturą ustąpiwszy z urzędowania, około 1870, jako 115-letni starzec, podkręcając siwego wąsa, na weselu swej prawnuczki sunął poloneza; drugi święty Ojciec trapista, inaczej zwany Cudotwórcą, (stary kawaler p. Piotr Wł.), „który, według obwieszczenia gwardyana mzurowskiego — nawrócił już trzydzieści trzy gospodynie jedną po drugiej w krótkim czasie, a oprócz tego czynił przeróżne inne cuda: zamrażał corocznie ziemniaczki, zasiewał pszenicę, ani jednego nie zbierając z niej ziarenka, tylko kąkol i mietlicę”... i trzeci również nieśmiertelny, bo 90-letni, ów Ojciec Kmita, do którego co koń wyskoczy pędziliśmy właśnie.

Siwosz wyniosły o hetmańskiej brodzie, przez młodzież zwan był Nestorem kawalerii, a tytuł świętego otrzymał za słynną przygodę. Kiedy bowiem raz w Żarkach o północy, w stanie arcy-błogim nie zauważywszy furmana na koźle, wgramolił się jakoś na bryczkę, rychle z siedzenia zsunął się pod fartuch, a okrutni złodzieje nic o śpiącym nie wiedzący, w mig z nim pocwałowali aż na pruską granicę, gdzie dopiero obudziwszy się na bruku Katowic, wielki krzyk wszczął, koniokradów spłoszył, ale natomiast całą policję ruszył, „przez którą srode był więzion, aż się należycie rzecz wyklarowała.”

Deszcz, gdyśmy do tego patra rwali z kopyta, już nie padał, ale lał z nieba strugami, jak z łotoków młyńskich. Zmoczeni do nitki, wśród grzmotów i piorunów, wpadamy do dworku i... „Pan z domu wyjechał!” mówią nam na wstępie. W domu zamęt, latanina, przerażenie. Chłopiec, biegnący po nasze mantelzaki, wpada do piwnicy, dziewczka leci na strych, baba jakoś żegnając się przed planetnikami,

ucieka do kuchni. Słowem: siodłaj portki, dawaj konia! — jak mawiali starzy.

Gloger chichocze, ja wypadam i wnoszę zmoczone tłomoki.

Susząc odzienie w kuchni przy ogniu, przesiedzieliśmy w tym dworku aż się deszcz uspokoił. Nad wieczorem, nie doczekawszy się gospodarza, ruszamy do Pilicy. Niestety, znów jedna, druga chmura obfite spuszcza na nas strugi, a w austeryi w przeciągu nocy istna w pokoju naszym tworzy się sadzawka.

Nazajutrz wychodzimy na ganek: niebo całe zachmurzone, bańki na kałużach stoją! O Podzamczu, o zwiedzeniu rezydencji Maryi Józefy, niema co i myśleć! Trzydniówka nie chybi!

Mieszkał wtedy w Pilicy antykwaryusz-księgarz, opisywacz okolicznych zamków, niby Giejsztor minorum gentium i zarazem Grabowski, p. Bolesław Hubnicki. Rada w radę rżniemy z Glogerem do niego.

Drabując zawzięcie ciekawości u zacnego staruszka, znaleźliśmy sporo, i w ten sposób choć w części był zawód wynagrodzony.

O przeczekaniu długotrwałej sloty mowy być nie mogło wobec terminów, jakie Glogera wiązały.

Tegoż dnia jeszcze po obiedzie odwiozłem pana Zygmunta na stację.

Tak się skończyły wędrówki nasze po olkuskiej ziemi:

„Inni po Paryżach i Neapolach,

Myśmy wojażowali po ojczystych błoniach..

Co pamięć i serce podyktowało, skreśliło to pióro.

A teraz żegnaj mi kraino wspomnień, czarodziejska swą pięknnością, romantyczna ziemiol!

M. Federowski.

18. XII. 1911 r.





Kurhan w Kowarach



rys. M. Wawrzeński.

W niepowrotnych dniach młodości, ilekroć jechałem z Lelowic do Proszowic, tylekroć okiem dziecka spoglądałem na wielką, porośłą trawą mogilę, rysującą się na tle nieba na polach wsi Kowary.

* * *

Niedobłą mają opinię u ludu tamecznego pola kowarskie. Wielkie, puste obszary, nigdzie drzew ni wioski (wsie Kowary i Szczytniki utopione w parowach są niewidoczne). Nocami pola te puste nabierają grozy — nieraz widziano na nich „omętrę” błądzącego, nieraz „spoleniec”¹⁾ je przebiegał. Niejeden, powracając z Proszowic, gdy go w tych miejscach zmrok zachwycił, doznawał „mrowia”, biegającego po grzbiecie. Widywano „czarne psy”, kołujące we zmroku po tych polach. Nareszcie mieszkańcy Kowar i Szczytnik na skrzyżowaniu się dróg dźwignęli „figurę”.

Wielki murowany czworogranny słup z nyzami na „świętki”. Około słupa posadzili cztery „drzewiny,” i rażniej się stało temu, kto zapóźniony pola te przebywał. Ustały też pospolite na krzyżowych drogach tany czarownic z dyablami, podnoszących wysoko pył drożny.

Mogila na wyniosłości stała i stała — urągając ulewom, burzom i wichrom. Oborywali ją ludzie — podkopywali motykami, spalali bydlęm, słowem, czynili wszystko, by niepożądanego intruza wśród pól nadanych przez „Ukaz” zatracić. Ale intruz rozsiadł się wygodnie i urągał mocy ludzi i żywiołów.

* * *

Co kryje ta góra ziemi, ten nasyp sztuczny na przegięciu pola? Rozmaici, stosownie do „poziomu”

duchowego, rozmaicie twierdzili. Byli tacy, co nasyp odnosili do najść tatarów, byli, co imputowali go wojnom, byli co zaledwie odnosili go do Kościuszkowskich epok lub do 1830, a nawet 1863 r. Ale mogila stała ponura, wyniosła, milcząca i tajemnicza. Ona sama nic nie wymówiła. Może dumiała nad brakiem pamięci ludzkiej, a może czekała na rękę, co się wdrze do jej wnętrza i powie światu, co tam znalazła.

Groza trupów, ciał zmarłych rycerzy, okropnych kości, broniła jednak mogilę od nocnych nawiedz in poszukiwaczy skarbów.

Upiory tylko pono siadywały na jej szczycie nocami...

Grzmiały działa pod Portem-Artura, pod Laojanem, gdy latem 1904 r. pod mogilę podjechała zwyczajna bryczka krakowska, z bryczki wysiadło dwu ludzi w białych kitlach. Ludzie ci ostrożnie przeszli przez zagony kartofli chłopskich, wdarli się na kurhan. Chwilkę postali, coś rękami wskazywali, zamyślili się, następnie szybko zeszli, siedli do bryczki i odjechali.



ŚWIATOWID

rys. M. Wawrzeński.

¹⁾ „Omętra” i „spaleniec”—ognik błędny (pojęcia ludu z okolic Proszowic.)



Dnia tego wieczorem pod cienistymi lipami ¹⁾ Kościuszkowego dworu w Lelowicach dwu tych ludzi zdecydowało o losie mogiły.

Zimą 1904—5 szły listy z Warszawy do Kowar i odwrotnie. P. Stanisław Suchecki, rządcą tej wsi²⁾, pośredniczył u właściciela hrabiego Morsztyna. Negocjacje te uwieńczył pomyślny skutek.

Dnia 11 lipca 1905 roku o 2-iej w nocy, błogosławiony przez matkę moją, siadałem przed gankiem dworu w Lelowicach na bryczkę i w noc mglistą śpieszyłem do Kowar.

W mrokach i mgłach około 3-iej w nocy ukazała mi się mogiła. Wyglądała groźnie i majestatycznie, ale stalowa sonda moja raz wraz zapuszczała się w jej łono. Macałem teren i układałem plan postępowania. Na piersiach miałem piśmienne zezwolenie właściciela na dokonanie badań, jednak zadanie było niełatwe. Oto mogiła stanowiła „wyspę” dworską na terenach chłopskich pól ukazowych. Należało wykop prowadzić tak, by broń Boże ziemi nie uронić na pola włóścian. To mogło wywołać nieobliczalne następstwa.

Rozmierzyłem przestrzeń 12□ metrów tak, aby do odrzucania ziemi zostało sporo miejsca, a gdy około 5-iej zjawił się mój „majster”, Śliwa, chłop rodem z Chrobrza, specjalista od robót ziemnych, oraz 9 kopaczy, a w ich liczbie 2 dziewczyny, rozpoczęliśmy pracę wśród mgieł leżących dokoła i słabych promieni słońca. Zaledwie wieś utopiona w jarach zauważyła ludzi na szczycie mogiły, wnet powstał w niej gwar, potem gromadki ludzi poczęły groźnie napływać dookoła. Najpierw baby podniosły wrzask, że jakoby ich „zimioki” są zagrożone, następnie mężczyźni groźnie mruczeć poczęli, następnie wszystko to otoczyło kurhan i wcale niedwuznacznie wrogie przeciw „obcym” poczęło kierować uwagi.

Nie zważałem na to, ale ulżyło mi, gdy nadszedł miejscowy „polowy”, Kocioł, i nieco odciągnął gromadę. Naraz w głębi 0,6 m. rydel kopacza wydał niemiły grzyt, wszyscy nadstawili uszu, kowarscy chłopcy poczęli wołać do mnie, że jeśli to „kociel” z pieniędzy, to ani mnie ani moich ludzi żywem nie puszczą z miejsca. Spojrzałem na moich kopaczy, mieli rydle i motyki, a tamci tylko gołe ręce, i otucha mi w serce wstąpiła. Z wyniosłości kopca oświadczyłem rzeszy, że pieniądze należą do właściciela ziemi, p. hrabiego Morsztyna, zgrzyt zaś powstał z tego, że rydel trafił na kości.

Kopanie szło dalej, i oto wkrótce 11 szkieletów ludzi dorosłych oraz 2 szkielety dziecięce obnażone leżały na czarnej ziemi wnętrza mogiły. Rozpocząłem pomiary i zdejmowanie planu układu szkieletów oraz notaty niezbędne do naukowego referatu, ¹⁾ i tak się w tem zatopiłem, że dopiero szept Śliwy: „panie, chłopcy nas zdali” (denuncjowali) zmusił mnie do podniesienia oczu. Właśnie na kurhan wdzierał się softys z blachą na piersi (znak roli oficjalnej) oraz 2 zbrojnych strażników.

Komisja ta najpierw poszła do moich worków, zbadała ich zawartość, t. j. czaszki i kości, jakie tam zebrałem, potem dziwnie jakoś rozczerwona spojrzała na mnie. Ja wśród szkieletów z książką i sondą oraz miarą. Przy mnie Śliwa, a dokoła moi kopacze oraz mieszkańcy Kowar. Naturalnie, nie czekając zapytań, podszedłem do reprezentantów władzy. Ci, niby to o coś pytali, niby to szukali mego nazwiska w jakimś spisie urzędowych nazwisk, wreszcie przyznali, że „sotskij” przyjechał po nich do Proszowic z wiadomością, że w mogile znaleziono „szklaną trumnę, a w niej panienkę śpiącą i dużo złota, że oni widzą tu kości tylko, że nie wiedzą, jakie to kości i t.p.”

Ale oto na mogiłę wkracza pan Stanisław Suchecki; rzecz się wyjaśnia, władza zaczyna mi nawet okazywać „zakonnoje sodiejstwo” i rozprasać zbiegowisko, przyczem zachodzą takie epizody, że młodszy strażnik mierzy z rewolweru do pastusza, a pastuszek wali go bryłą ziemi między oczy, na co uderzony woła: „a postoj ty, japoniec proklatyj!” Rozumie się, że na taki zwrot poczynamy robotę dalej. Za warstwą szkieletów 2,4 metr. czysta czarna ziemia, a w niej niemal, że nic. Dochodzimy do calizny — glina, jak podłoże pól okolicznych.

Wyeksplowawszy wykop i ukończywszy pisanie raportu, oraz wydzieliwszy to, co z naukowych względów zabrać wypadało, poleciłem pozostałe kości złożyć razem, a gdy to skutecznie, przemówiłem do moich kopaczy, by zmówili wieczny odpoczynek za tych oto ludzi. To zrobiło wyborne wrażenie. Następnie poleciłem wykop zasypać. Zaledwie do tego przystąpiono, ściemniło się nagle, upadł piorun, burza przeszła o kilkaset metrów ku Imbramowicom (folwark Gruszowa). Pomyślałem, gdyby tak grom uderzył w którego z nas, lud widziałby w tem zapewne karę za naruszenie spokoju nieboszczyków.

O 5-iej popołudniu ukryłem w bryczce worki z łupami i ruszyłem do domu.

Wyznaje, iż gdy ręce konie uniosły mię w nasze krakowskie wąwozy, w te wąwozy, które ocaliły

¹⁾ Zob. T. X 1907 r. Materiałów antropolog., archeolog. i etnograf. Ak. Umiejętności w Krakowie str. 64.

¹⁾ W 1911 r. lipy parcelanci wycięli w pień, a ogród zaorali.

²⁾ Zmarł w Proszowicach około 1909 r. jako 80 paroletni starzec po 40 latach pobytu w Kowarach; był niegdyś słuchaczem Uniw. Jagiel.; wmieszany w sprawę zabicia szpiega, Cielaka, musiał uciekać i zmienić całą swoją karyerę.



Kościuszkę pod Raclawicami, zrobiło mi się lekko na sercu.

W hamaku śród lip lelewskich, w towarzystwie kochanej mej matki, uporządkowałem i dopełniłem notaty. Kowarska mogiła pozwoliła wydrzeć sobie tajemnicę swego łona.

Kopacze, p. Suchecki, strażnicy, sołtys i chłopci, wszyscy byli rozczarowani: myśleli o skarbach, a mogiła dała kości. Czyż dać mogła coś nadto?

W 1907 r. w gabinecie dr. Włodzimierza Demetrykiewicza piszący słyszał te słowa:

„Badania pańskie nad kurhanami okolicy Proszowic rzuciły ważne nowe światło na epokę pojawienia się słowian na tych ziemiach. Badania te zbiegły się z mojami i dały mi niemal pewność, iż kurhany Proszowskiego, Szkalbmierskiego, Pińczowskiego i Wiślickiego zawierają cenny naukowy materiał i że winny być naukowo a nie dorywczo badane, gdyż materiał ten uleść może łatwo zatracie, a jest pierwszorzędnej dla nas doniosłości”.

Maryan Wawrzeniecki.



Z KOLONII POLSKICH W PARANIE.

3)

Kolonia Ivahy znajduje się w odległości 66 kilometrów od linii kolejowej (stacja Fernandes Pinheiro) i 88 kilom. od miasta Ponta Grossa. Czynności kolonizacyjne rozpoczęły się tu w roku 1907; z powodu dokupywania sąsiednich terenów prywatnych przeciągnęły się na czas nieograniczony. Osiedlono już przeszło 3½ tysiąca ludzi. Polacy stanowią około 25%, rusini przeszło 70%. Rusini mają tu cerkiewkę w miasteczku, oraz kilka szkółek prywatnych w kolonii. Polacy nie mają nic — ani szkoły, ani kościoła, tylko w jednej ze szkółek rusińskich uczą też i po polsku.

Klimat tu cieplejszy, niż w kolonii nad Iguassu: w ogródkach kolonistów widzimy przeważnie banany, czasami ananasy. W miarę zbliżania się do rzeki Ivahy klimat staje się coraz cieplejszy, a ziemia urodzajniejsza; nad rzeką udaje się ryż i trzcina cukrowa.

Miałem też sposobność konferowania z kolonistą Niemcem, który po trzech blisko latach wzorowej gospodarki na szakrze, przeniósł się właśnie do Enxovia, porzucając swe gospodarstwo. Według niego tylko ciemnota i niezaradność Polaków, utrzymując ich na szakrach, powstrzymuje wyludnienie się kolonii. Przytoczył mi dwa przykłady wydajności pracy na roli: *ka l g i e r* (*carqueira*) kukurydzy kosztuje obecnie na kolonii 3 mils., na zebranie z pola i wyluskanie takiej ilości potrzeba około 2 dni czasu; nie licząc nawet pracy, włożonej w przygotowanie ziemi, sadzenie, pielęgnowanie oraz kosztów na nasiona, sam zbiór już się nie opłaca, bo płaca dzienna robotnikowi w Paranie zwykle wynosi 4 milreisy dziennie. Przykład drugi: kolonista niesie do *w e n d y* worek ze zbożem, niesie zdaleka i otrzymuje *wzaman*...

kieliszek *ka s z a s y* (wódka brazylijska), przyjmuje, nie chcąc wlec z powrotem.

W istocie, ogromna odległość, dzieląca kolonię Ivahy od rynków zbytu, stanowić będzie o jej przyszłości; w lata urodzajne wartość produktów rolnych spadać będzie do zera, bo nie opłaca one kosztów transportu; w lata nieurodajne cena, z braku dowozu, będzie nadzwyczaj wysoka.

Rozpoczęło się lato brazylijskie — t. j. pora najmniejszej czynności w polu; największa praca jest w zimę, podczas *rosowania* na żyto. Z szafasów osadników poczęli wysuwać się ludzie z tobołkami na plecach. W poszukiwaniu zarobku wędrują nieraz bardzo daleko — kilkaset kilometrów. Przez całą drogę mijać ich będziemy, gdyż wycieńczeni ledwo przesuwać nogi, poranione przez pchły ziemne. W Paranie tradycja „chodzenia na Saksy” odżywa w całej pełni. Tak zbliżka wygląda „raj brazylijski”!

Krańcowym punktem żeglugi po rzece Iguassu jest czterotysięczne, położone bardzo malowniczo miasteczko Porto União da Victoria. Osiało tu kilkadziesiąt rodzin polskich i zawiązało się nawet towarzystwo oświatowe „im. Juliusza Słowackiego”. O parę kilometrów dalej, jadąc drogą żelazną São Paulo Rio Grande, rozpoczynają się loty kolonii João Candido, a za nią tereny towarzystwa kolejowego Brazil Railway Company, na których w ostatnich czasach powstała jedyna, jak dotychczas, kolonia kolejowa — Nowa Galicya. W swoim czasie (około trzech lat temu) w prasie parańskiej było głośno o tej kolonii. Zdawało się wówczas, iż towarzystwo kolejowe, wystrzegając się błędów, jakie popełniały i popełniają komisje rządowe — federalna i stanowa, stworzą prawdziwy raj dla



kolonistów. Rzeczywiście, zewnętrznie [kolonia przedstawia się okazale, i zamiast lichych, skleconych naprędce „budek” komisyjnych widzimy tu ładne, zbudowane z tarcic domki, malowniczo rozrzucone wzdłuż toru kolejowego. Pociąg staje przy platformie, stacji kolonia nie posiada. Rozpoczynam od oględzin miasteczka—jedynym budynkiem okazalszym jest domek dyrektora. Poza tem mamy tu dwie wendy, plac po spalonym kościele i szopa dla przybywających emigrantów, w czę-

lonii również niema. Pod tym względem Brazil Railway Company naśladuje w zupełności komisję rządową, nie znoszącą w swym gronie polaków, choć zdawałoby się, że w polskich koloniach obecność urzędników polaków byłaby niezbędną.

Towarzystwo daje kolonistom zarobek przy budowie dróg i linii kolejowej, płacąc po $3\frac{1}{2}$ —4 milreisów dziennie, oprócz tego pośredniczy w zbycie i nabywaniu różnych produktów biorąc tylko 10% komisowego. Czy te ułatwienia utrzymają się

na przyszłość, obecnie nie wiadomo, gdyż kierownictwo przechodzi z rąk francuskich do amerykańskich i wkrótce nastąpi zupełna zmiana regulaminu.

Wybieram się na wycieczkę w celu zawiarcia znajomości z kolonistami. Zachwyceni ani nawet zadowoleni nie są; za te piękne domki towarzystwo każe sobie płacić ogromnie słono — 400 milreisów (tyle mniej więcej kosztuje cały lot komisyjny wraz z „budką”); ziemie bardzo liche (większość nie nadaje się zupełnie do użytku); najwięcej jednak uderzył mnie oplakany stan dróg: nędznie sklecone mosty, karkołomne zjazdy, niedające się przebyć nasypy — wszystko to świadczy, że apetyt



Z POW. ZAMOYSKIEGO

fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

ści przeznaczona na szkołę. Nauczyciel-polak, uposażony doskonale, uczy po polsku, brazylijsku, niemiecku; nie uznaje tylko języka rusińskiego, pomimo, iż w kolonii znaczna przewaga rusinów (około 70%). Jego prawdziwie galicyjski patriotyzm każe mu wierzyć, iż w ten sposób „można wcielić ten ciemny naród”. Pomocy lekarskiej udziela kolonistom praktykant aptekarski — brazylijanin, czasem używają lekarza z Porto União. Polskie pochodzenie dyrektora kolonii nie przeszkadza mu bynajmniej postępować w myśl pruskiej zasady: „dla leczenia polaków znajomość ich języka nie jest potrzebna.” Urzędników polaków na ko-

panów z Towarzystwa jest jeszcze większy, niż panów z komisji.

Kolonisci na wspomnienie o porzuconej ojczyźnie, składają ręce, jak do modlitwy...

— Panie! za grzechy nasze zesłaliśmy się tu, żeby pokutować w borach jak te dziki!...

— Z Sybiru ludzie wracają, ale stąd już nie wróci!...

Rzeczywiście zauważyłem fakt na pozór dziwny. Tu, w Paranie, wszyscy skazani są na szybką dekadencję umysłową, moralną, a nawet fizyczną. Jednakże ludowi daleko ciężiej wyżyć się tych pierwocin kultury, jakie posiada, daleko więcej



KOLONIA NOWA GALICYA. ZAGRODA KOLONISTY

fot. T. Chrostowski,

cierpi przy tem, niż inteligent, który szybko dochodzi do zupełnego zobojętnienia względem tego wszystkiego, co dla człowieka kulturalnego, zdawałoby się, jest nieozdrowne.

Powrotną drogę odbyłem pieszo w celu poznania kolonii João Candido, o której brak jakiegś wzmianki w naszej literaturze parańskiej.

Kolonia, znana powszechnie pod nazwą Legru (od nazwy stacji kolejowej), istnieje już od lat 18, posiada wcale niezłą komunikację, stację kolejową i bliskość miasteczka Porto União; liczy około 300 gospodarstw z wielką, jak wszędzie w Paranie, przewagą rusinów.

Idąc, spotykałem ciągle grupy robotników, pracujących pomimo niedzieli przy planie kolejowym. I przyszło mi na myśl, że jednakże ludzie ci wiele musieli przetrzeć, zanim doszli do zapomnienia o odpoczynku niedzielnym. Fakt ten, taki tu powszedni, u nas w kraju byłby niemożliwy. Stan kolonii nie zachwycił mnie bynajmniej: gospodarstwa zaniedbane, opuszczone, spotykane twarze ponure.

Podobno ostatnie lata — szarańcza, szczury, posucha — zniszczyły dobrobyt kolonistów.

Szkoły nie mają i nie mieli nigdy, ksiądz objeżdża trzy razy do roku. Wstępuję do kościołka — zwykła szopa drewniana z małą wieżyczką — kilkanaście osób, przeważnie starszych kobiet jęklonie wywodzi godzinki. Więc nie tu obywatele z Candido szukają wytchnienia i otuchy. Idę dalej; w wendach rojno, na pierwszym

planie olbrzymie pi-py z „kaszasem”, głosy ożywione, słysząc mowę brazylijską. O Polsce już nie pamiętają i wracać nie mają ochoty.

Wódka tu tańsza i zarobić na nią łatwiej; zdaje im się również, że nie zniesliby polskich „strasznych” mrozów, i uśmiechają się niedowierzająco, gdy im tłumaczą, że w Polsce ludzie, mając na zimę ciepłe ubranie i ogrzewane izby, nigdy tak się nie nacierpią od zimna, jak w Brazylii, choć tu tylko ma-

łe przymrozki.

Wracałem z ciężkiem uczuciem przygnębienia. Nasi ciemni, niezaradni wychodźcy nie nadają się zupełnie do misji „kulturträgerów”; pozostawieni samym sobie, dziczeją szybko w tych borach, zaniedbują się i tracą energię. Zmuszeni wskutek warunków nader niesprzyjających dla rolnictwa (klimat zimą ciepły, latem dżdżysty, bardzo licha górzysta gleba, olbrzymia moc szkodliwych owadów) do ciągłego opuszczania swych siedzib w pogoni za zarobkiem, wynaradawiają się i zatracają wszelki związek z porzuconą ojczyzną.

Wrażenie moje uzupełniła scenka w hotelu polskim, w Porto União da Victoria. Na korytarzu bawią się drobne dzieci, słyszę mowę brazylijską:



fot. T. Chrostowski

KOLONIA NOWA GALICYA.
SZKOŁA ZARZĄDU KOLONIA.



— Cavallo vae assim! Cavallo vae assim!
 — Nie mów po brazylijsku, boś ty nie kabukier — strofuje matka.

Za chwilę słyszę znowu:

— Cavallo vae assim!

Żadna siła nie jest w stanie powstrzymać procesu asymilacyjnego, bo ten oparty jest na prawach natury.

Niektóre ustępy artykułu tego, pisanego w kwietniu bieżącego roku, należy uzupełnić wiadomością, że przypuszczenia co do projektowanej naganki na włościan z Królestwa nie tylko sprawdziły się, lecz nawet naganka ta wywołała nadmierny napływ emigrantów, niepożądany nawet

dla rządu brazylijskiego. Już w lipcu wszystkie baraki dla emigrantów w Paranie zostały przepełnione — rozpoczęły się epidemijki z olbrzymią śmiertelnością wśród dzieci, wreszcie zjawiał się tyfus.

Rząd brazylijski przestał stosować się do życzenia przybyłych, lecz porozsyłał ich do wszystkich stanów Brazylii, gdzie tylko były wolne miejsca. Rezultatem więc działalności naszych patriotów parańskich było przeniesienie kilku tysięcy włościan z Chełmszczyzny w puszcze brazylijskie lub na tamten świat. Do Parany dostała się tylko nieznaczna ilość.

Tadeusz Chrostowski.



Z podróży Węgrów w Polsce. 6)

(Dok.)

Kościół Panny Maryi został założony w roku 1343, w tym też roku założono pierwszy kamień murów miejskich, jak to wyczytać można z napisów nad zakrystią. Ogromny to kościół, pełen sprzętów, które przedtem należały do jezuitów, teraz zaś są w posiadaniu mieszczaństwa. Jest w nim pięćdziesiąt ołtarzy, z których najświetniejszy, który tylko na trzy główne święta bywa otwierany, znajduje się w kaplicy św. Doroty. Mówią w mieście, że ołtarz ten znaleziono na morzu, że nie ludzkie, lecz anielskie ręce go rzeźbiły, ale *fides sit apud dicentem*, to jest pewne, że Bartholomeus Schachmann *Asiae, Europae, Africae Ulysses* osiem tysięcy marek byłby dał za niego miastu, gdyby mógł go w swoim „*exotico tamion*” zmieścić. W tym samym kościele były posągi dwunastu apostołów, lanych ze srebra, z których mieszczanie podczas wojny ze Stefanem Batorem kazali bić monety. W kościele są cztery organy. Największy robiony był za panowania Stefana Batorego, którego herb widać na nim. Piszczalki ma tak wielkie, że do niejednej z nich zmieściłby się człowiek, a głos tak potężny, że gdy grać zaczął lękać się można, iż cały kościół runie. Drugi, na prawo od wielkiego jest bardzo stary, ale już zaniedbany; mówią, że były w nim srebrne trąby, ale pewnego razu organista, nie mogąc ich

prędko poprawić, przeklął je słowy: niech cię dyabli wezmą, jeżeli nie chcesz mi służyć. W następną noc dyabli rozpoczęli zniszczenie i dopóki wewnętrzna część nie zepsuła się, nie można było od nich organu odebrać, a potem wewnątrz już puste zostało. Trzeci organ na prawej stronie do dziś dnia służy do użytku. Czwarty robiono w czasie mojego pobytu w Gdańsku, umieszczając go tam, gdzie stoją uczniowie. Dwadzieścia pięć wewnętrznych filarów kościoła sięga bardzo dawnych czasów, a chrzcielnica z miedzi weneckiej jest tak nadzwyczajna, że nawet w dalekich krajach niema nic podobnego. Kościół ma bardzo wielką, szeroką i wysoką wieżę bez żadnej ozdoby, w niej dużo wielkich dzwonów, między nimi jeden, który leży na kołach. Mówią, że z kościoła można drogą podziemną przejść do zamku, którym to opowiadaniem — wiem, — że nasi węgry łatwoby wjérzyli, bo u nas (t. j. na Węgrzech), zwykła to rzecz jest, w zamkach skryte drzwi napotkać. Kto nie wierzy, niech ogląda szkołę w Pataku i w Gyongyos. Przy tym kościele mieszczą się jezuici, między nimi sławny pater Crispinis, z którego rozmów podczas mojego pobytu tam dużo korzystałem. Potem ładny jest kościół szarego klasztoru, który poprzednio wymieniałem jako gimnazjalny, bo z klasztoru utworzono szkołę. Kościół ogromny,



rozdzielony na dwie części, w jednej bywa kazanie, a w drugiej co sobotę słuchają nauki ci, którzy przystępują do stołu Pańskiego. Kościół jest teraz w rękach kalwinów, którzy w nim budują wielkie organy.

W tym kościele jest nagrobek jednego ze znakomitych filozofów i teologów z wykutymi trzema gwiazdami i trzema różami, oraz napisem: *Bartholomaeo Keckernno et haeredibus*. W pobliżu znajduje się kościół św. Piotra, gdzie na pamiątkę Batoiego przechowują kulę, którą król Stefan rozkazał do krzyża wystrzelić. I ten kościół należy do kalwinów. Ładny jest kościół św. Katarzyny w starym mieście; w nim wielkie organy i wielki ołtarz z kosztownego kamienia wykuty, a krzesła ozdobione są ładnymi figurami. Kościół należy do mieszkańców saskiego (?) wyznania. Do nich również należy kościół św. Jana. W kościele św. Elżbiety przy murach miejskich, ozdobionym ładną, zieloną wieżą, chwali Boga „*helvetica confessio*”. Kościół św. Bartłomieja posiada religia reformowana, a św. Jakóba luteranie; na tym kościele wisi szczeka rybia, której długość wynosi pięć łokci. Św. Ducha także „*augusta confessio*” posiada, ale przeważnie używano go jako szpitalnego.

Katolicy oprócz trzech klasztorów mają trzy kościoły; najgłówniejszy z nich należy do dominikanów, których tu czarnymi nazywają mnichami. Drugi jest karmelitów, zwanych tu białymi mnichami. Stary to, popekany kościół, ale z takimi organami, jakich oprócz Panny Maryi nie ma żaden kościół w mieście. Zakonników jest tam dwudziestu trzech. Kościół mniszek zaczyna się teraz wewnątrz i zewnątrz przebudowywać. Zewnątrz ma wieżę, wewnątrz zdobi go ładny, wielki stary ołtarz, który kosztuje kilka tysięcy guldenów; także i chóry, gdzie dwadzieścia cztery panny odmawiają głośno codziennie: „*Tibi Domine*”.

Są tu też ładne szkoły, z których najwybitniejsze jest gimnazjum, przerobione ze starego klasztoru; sam budynek jest bardzo ładny, a jak sądzę, zajmuje taką przestrzeń jak zamek Tokaja; prześliczne są w nim sklepienia, podobne do sklepień w ruinie klasztoru w Koszycach; na piętrze jest sześćdziesiąt komnat, dawnych cel zakonnych, w których teraz mieszkają uczniowie; nad oknem wielkimi literami napis *sile n t i u m*. Jedną część budynku zajmują ładne sale wykładowe i mieszkania pro-

fesorów. Przy wejściu, po prawej ręce jest *a u d i t o r i u m p h i l o s o p h i c u m*, potem *o e c o n o m i a*, gdzie jasnie wielmożna i mądra rada utrzymuje trzydziestu dwóch uczniów, i gdzie ja także przez trzy miesiące mieszkalem. Na końcu jest wielkie *a u d i t o r i u m*, w którym wykładał dobrej pamięci Heckerman; niema tu pieców tylko ogrzewane podziemia, z których ciepło wchodzi dziurami zrobionymi w podłodze. Tego rodzaju urządzenia można widzieć w Koszycach w kamienicy pani Jerzowej Melda.

Przed wejściem do tego audytorium jest mieszkanie głównego mistrza, skąd widać na podwórzu domy profesorów, jeden przy drugim stawiane. Wychodząc zaś z klasztoru od prawej ręki są *s e c u n d a*, *t e r t i a*, *q u a r t a c l a s s i s* i biblioteka, przepelniona rozmaitemi książkami, wieloma astrolabiami, sphaerami i innymi przyrządami, służącymi do nauki. Między innymi są tu również stare tabliczki woskowe, jakich używali rzymianie, póki nie poznali papieru. Po śmierci Heckermana wcielono tu jego książki, które były bez okładek, tylko zeszyte i obcięte. Przy bibliotece jest dom inspektora, a za nim *a n a t o m i c u m a u d i t o r i u m*, które nie wiem, czy z powodu lenistwa profesorów czy słuchaczy, podczas mego pobytu było zaniedbane.

Przytem każdy z kościołów ma swoją szkołę, której nadaje nazwę. Oprócz tych, są tu liczne szkoły, w których uczą języków: niemieckiego, polskiego, francuskiego i innych, w niektórych także tańców i szermierki.

Co do ich stosunków, obyczajów i ustaw, nie sądzę, żeby je warto było tutaj podawać.

Jest w mieście ładna „*basilica*” t. j. dwór królewski, gdzie rada miejska sześć razy rocznie ucztuje; pełno jest tam wtedy służby miejskiej, ubranej według zwyczaju ich przodków z wielką pompą w złote ubiory, ozdobione herbami, i piękna przy zabawie muzyka; oprócz tego bardzo często zajada tam kolację dwunastu radców, a mieszczanstwo kupieckie codziennie pije piwo gdańskie. Między wieloma posągami są tam wywieszone skóry wieloryba i krokodyla. Piec w sali, mający dwanaście łokci wysokości o dwóch półproęgach z czerwonego marmuru z wyrzeźbionym na nim wizerunkiem obecnego króla polskiego i syna jego Władysława, a dalej Temistoklesa, Scypiona, Justycy etc. postawiony został niedawno.

Tłom. Dr Adrian Divéky.



BIRŻE.

2)
(Dok.)

„Wieczorem miasto było wzięte i spalone do szczytu podług prawideł militarnych; wszystko przepyszny sprawiło widok, kosztowało 50,000 lirów. Wśród pożaru, huk dział i przerażenia, tańczono w balowej sali; bankiet był najwykwintniejszy, wybór osobliwości przy wieczerzy sprowadzano o kilkaset mil sztafetami.” Ale i ks. Kingston umiała być hojną: „Miała na sobie bardzo wiele prześlicznych słabo przyszytych brylantów, ażeby się w tańcu odrywały, a gdy który z kawalerów przynosił do niej oderwany klejnot, księżna każdego z nich prosiła, aby go sobie na pamiątkę zatrzymał.” — Lecz z dymem sztucznego pożaru uleciały i nadzieje domowego szczęścia ks. Panie Kochanku, gdyż projekt poślubienia ks. Kingston do skutku nie doszedł. W r. 1790 umarł książę, zostawiając majątki jednemu synowcowi ks. Dominikowi. Za niego w Birżach w r. 1792 zostało wprowadzone niemieckie zgromadzenie cechowe.

W r. 1794 Birże i okolicy znowu były świadkami wojny z Rosją.

W r. 1811 ks. Dominik, mając ogromne długi, sprzedał część swych dóbr, między innymi i księstwo birżańskie, które kupił starosta wielobyci, hr. Józef Tyszkiewicz. Wskutek roszczenia praw do Birż przez sukcesorów, książąt Neuburskich, hr. Michałowi Tyszkiewiczowi, synowi Józefa, wytoczony został proces, trwający 28 lat; na koniec, w r. 1844 ukazem cesarza Mikołaja I-go Birże zostały uznane za dziedzictwo hr. Jana Tyszkiewicza.

W r. 1815 cesarz Aleksander I przejeżdżał przez Birże. W r. 1822 był po raz drugi, a zwiedzając osobiście ruiny zamku, kazał żelazne działa i ogromny moździerz zachować nietknięte, co też było spełnione do r. 1863.

W 1812 r. wojska francuskie, idące pod Rygę, szły przez Birże. Tutaj Michał hr. Tyszkiewicz sformował swym kosztem pułk, szefem którego sam został mianowany przez Napoleona.

Lata 1831 i 1863 są również bardzo pamiętne dla Birż i okolic. Tutaj pod wsią Medejkami w r. 1863 generał Ganecki pobił połączone oddziały powstańców pod dowództwem Sierakowskiego, Kolszki i księdza Mackiewicza.

Jednakże losy z zamkiem dzieliło i miasto.

Pierwszą wzmiankę o Birżach, jako o mia-

steczku, znajdujemy w liście biskupa ryskiego, pisanego z Kokenhuzen do brata Alberta, księcia Pruskiego, z prośbą wysyłania umyślnych z listami przez Litwę do Birż, miasteczka należącego do wojewody trockiego.

Dopiero Krzysztof I wzniosł Birże na stopień miasta, nadając im prawo magdeburskie, swobody i przywileje, oraz 60 włók ziemi dla powiększenia osady i dochodów miejskich.

W r. 1589 król Zygmunt III nadał Birżom przywilej, potwierdzający nadanie Krzysztofa I.

Krzysztof II wydał w r. 1609 i 1610 rozporządzenia, dotyczące się handlu oraz ułatwiania mieszkańcom budowy domów, pobierania za rozmaite przekroczenia opłaty do skrzynki miejskiej na budowę ratusza i t. p.

Po wojnach szwedzkich, gdy Birże, jako naróżny szaniec obrony granic Litwy, bardzo ucierpiały, król Władysław IV utwierdził w r. 1644 przywileje, uwalniając zarazem miasto od podatków na 12 lat. Zniszczone miasto długo nie mogło się dźwignąć z upadku. Dopiero za ks. Bogusława, który na nowo ustalił siłę magdeburskiego prawa, w r. 1662, zaczęto je odbudowywać podług planu, otoczono wałem, rozmierzono na nowo ulice i place. Żydów wówczas jeszcze nie było zupełnie. Z gmachów publicznych w owych czasach zasługują na wzmiankę: ratusz i szkoły, utrzymywane przez ewangelików na stopie gimnazjum, mające swego rektora, a założone przez ks. Mik. Rudego o kilku klasach.

W r. 1685 Ludwika Karolina nadała miastu wilkierz, t. j. prawo miejskie w języku polskim i niemieckim, z którego dowiadujemy się, że Birże miały wówczas przywilej całowania przez postów ręki królewskiej; że była chorągiew miejska, herb czarnego orla w białym polu, muzyka, broń palna u każdego mieszczanina.

August II w r. 1701 znowu zatwierdził poprzednie przywileje i prawa. W 1704 r. klęska wojenna nawiedziła miasto, które z powodów strategicznych zostało spalone przez komendanta zamku, Nerezyusza. Po roku mieszkańcy znowu się zaczęli wracać i osiedlać, lecz do dawnej świetności miasto już nigdy nie wróciło. Co prawda, królowie: August III w r. 1744 i Stan. August w r. 1790 zatwierdzili dawne przywileje i prawo magdeburskie, jednak po wcieleniu Litwy do Ro-



syi ustawy magdeburskie stały się martwą literą.

W zarządzie miejskim przechowują się niektóre pamiątki, np. dwa przywileje na pergaminie i jedna kopia na papierze; jest również chorągiew, ale miecz katowski zaginął. Za miasteczkiem jest wzgórze, na którym był plac egzekucyi, zwany dotąd kartu-kaínas, od kartu — wieść i kaínas — góra.

Dzisiaj Birże są względnie dużym miasteczkiem, liczącem przeszło 400 domów i 7,225 mieszkańców, przeważnie żydów, w ręku których znajduje się prawie cały handel i przemysł. Znaczna odległość od kolei (50 wiorst) jest przyczyną małego ożywienia. Od paru jednak lat Birże zaczęły się podnosić: powstało du-

żo nowych domów, parę fabryk tkackich, jest szkoła miejska 4-klasowa i kilka elementarnych; istnieje spółka spożywcza, stowarzyszenie rolnicze, ochotnicza straż ogniowa z inicjatorem i fundatorem swym, panem doktorem Ludwikiem Chodakowskim na czele. Miejskowa inteligencja stara się o zatwierdzenie amatorskiego kółka dramatyczno-muzycznego, które prywatnie już od kilku lat istnieje, urządzając podczas letnich wyjazdów przedstawienia w języku polskim i litewskim. Kościół luteranski i cerkiew

pod względem swej architektury nie przedstawiają nic szczególnego. Pierwszy był fundowany pierwotnie z drzewa przez ks. Krzysztofa II-go, obecnie jest murowany. Cerkiew kazał w r. 1865 wymurować ordynat Birż, ks. Michał Tyszkiewicz, dla urzędników, kupców, rzemieślników i wojska wschodniego wyznania.

Z pośród innych świątyń wyróżnia się zbor ewangelicko-reformowany w stylu gotyckim, oraz katolicki w stylu włoskim. Historia tych dwóch zborów świadczy, że Birże były terenem nie tylko walk politycznych, lecz że i spory religijne mąciły niejednokrotnie spokój obywateli.

Gdy w w. XVI reformacja rozpowszechniła się w Polsce, na Litwie znalazła tak dużo zwolenników, że utworzyło się tutaj ze 200 zborów ewangelicko-reformowanych. Birże stały się głównym siedliskiem ewangelików, jako rezydencja księcia, najgorliwszego stronnika reformacyi na Litwie. Pier-

szy tego wyznania, Mikołaj Rudy, brat królowej Barbary, założył tutaj w r. 1564 zbor oraz szkołę-gimnazjum. Za Krzysztofa I-go administracja zamku i główne urzędy w księstwie obsadzone były przez ewangelików.

W XVII w. Jan Siciński, ewangelik, domownik ks. Radziwiłła, zamieszkały w Birżach, a ojciec Władysława, posła na sejm 1652 r., wydał własnym nakładem prace uczonych ewangelików, czem przyczynił się do rozkwitu języka i piśmiennictwa polskiego. Podczas wojny północnej w r. 1704 pierwszy zbor spalił się razem z miastem. Nowy wznosił kaznodzieja Peterson ze składek. Od lat kilkudziesięciu istnieje murowany kościół w stylu gotyckim, liczący parafian do 6,000. Pod

kościółem spoczywają zwłoki Krzysztofa II. Zbor przechowuje piękne pamiątkowe srebra, ofiarowane przez Radziwiłłów: Krzysztofa II-go, Bogusława i Ludwikę-Karolinę.

Uprzywilejowane położenie pierwotnie reformowanych, a następnie katolików, było niejednokrotnie powodem zatargów między wyznawcami tych dwóch zborów.

Zanim ks. Mikołaj Rudy przestał być katolikiem, więcej niż pewno, że kościół katolicki znajdował się w Birżach. O dowody jego istnienia w w. XV starał się ksiądz Maciejewicz, administra-



KOŚCIÓŁ W BIRŻACH

fot. J. Sznajder.

tor kościoła parafialnego w Birżach w w. XVII; posiadłszy je nareszcie, samowolnie zbudował kaplicę na cmentarzu katolickim, co spowodowało zatarg między reformowanymi a katolikami. Książki treści religijnej, drukowane w języku litewskim, a rozpowszechniane przez reformowanych między ludem, spotęgowały złowrogie usposobienie, podniecane przez ks. Maciejewicza. Spory wzmogły się za Ludwiki Karoliny, która po zaślubieniu księcia Neuburskiego zaczęła proteżować katolików: zatwierdziła kościół parafialny, obdarzyła go bogatymi aparatami ze złotymi herbami, własnoręcznie szytymi; rządcą Birż nazaczyła katolika Seszyńskiego, który wszystkich służących kalwinów zmusił do przejścia na katolicyzm; popierała jezuitów. Gdy za ks. Hieronima Birże przeszły do linii nieświeskiej, ucisk reformowanych wzmógł się do tego stopnia, że im zabraniało nie tylko zajmować jakiekolwiek posady w Bir-



zach, ale i odprawiać nabożeństwa w kościele, a sprzeciwiających się polecono karać więzieniem, grzywną, banicją. Nienawiść tak rozgorzała, że w r. 1783 ksiądz Rubowicz zabił na rynku wśród białego dnia księdza Moczulskiego, kaznodzieję zboru reform. W tym to czasie został zbudowany przez ks. Annę z Sanguszków Radziwiłłową, kanclerzynę W. X. L., matkę ks. Hieronima, nowy drewniany kościół, na miejscu którego w r. 1860 hr. Jan Tyszkiewicz ufundował murowany w stylu włoskim. Pod kościołem jest grób rodzinny hr. Tyszkiewiczów. W nim są złożone zwłoki fundatora oraz jego potomków. W kościele znajduje się marmurowa tablica z nadpisem:

ANNO DOMINI MDCCCLXII SUAE VERO
AETATIS LXI
MORTUUS EST ET HIC SEPULTUS JOHANNES
COMES IN BIRŻE ET WOŁOŻYN
TYSZKIEWICZ
CONDITOR ORDINATIONIS, ECCLESIAE
HUIUS FUNDATOR
VIR PROBUS ET JUSTUS, HUMANITATIS
LIBERALITATIS
ET PIETAS PLENISSIMUS
CUI
SERVITORES ET DOMESTICI BENEVOLI HOC
GRATI
ANIMI MONUMENTUM, AD MEMORIAM
AETERNAM
ERIGUNT ANNO MDCCCLXVIII.

Na cmentarzu katolickim, za miasteczkiem, przy kaplicy jest nagrobek zmarłej w Birżach, w r. 1813 Karoliny z Frąckiewiczów ks. Radziwiłłowej, drugiej żony ks. Dominika, a matki księcia Aleksandra, rotmistrza wojsk francuskich.

Gdy prawnym dziedzicem Birż został hr. Jan Tyszkiewicz, założył w r. 1862 ordynację, zbudował na północno-wschodnim brzegu jeziora w Ostrowiu, na półwyspie, ładny pałac, który otoczył parkiem.

Ostrów, będący własnością Krzysztofa II, oddawany przez księcia na dożywocie rozmaitym osobom, przechodził różne koleje. Nakoniec ks. Karol Panie Kochanku, oddał go głośnemu Leo-

nowi Borowskiemu, którego dowcip i dworskie ułożenie, oraz umiejętność radzenia sobie we wszystkim, zjednały go księciu. Pan Leon stał się przyjacielem i kolegą księcia, ratując nieraz sytuację, gdy książę zapędzał się w opowiadaniach; mieszkał w Ostrowiu w drewnianym pałacu, prowadząc życie bardzo otwarte i hulaszcze.

Do niedawna w pałacu ostrowskim istniała obszerna i cenna biblioteka, zgromadzona przez ordynatów. Oprócz niej znajdowały się: zbiór archeologiczny, etnograficzny, ornitologiczny; zbiór rzeźb marmurowych, obrazów oraz gabinet fizyczny.

Hr. Jan Tyszkiewicz, miłośnik pamiątek przeszłości, z pietyzmem dbał o zachowanie ruin zamku birżańskiego i wałów. Kazał je do porządku doprowadzić i urządził w samej kotlinie zamku piękny ogród publiczny, pełny kwiatów, oraz kręgielnię.

Zamek do dzisiaj zachował swe dawne formy; fosy i wały są jeszcze całe; w bastyonie między zachodem a północą położonym, dochował się sklep pod wałami twierdzy; dwie lipy wiekowe stoją na straży przeszłości. Mostu zaś zwodzonego, przez fosę wiodącego niegdyś do twierdzy, fundamentów stajen i wozowni zamkowych i t. p. ani śladu już nie ma. Niema również ładnych klombów i kręgielni, kotlina zamieniła się w ogród owocowy, corocznie wydzierżawiany, a wały służą mieszkańcom za miejsce spacerów, szczególnie w jesieni, gdy błoto uniemożliwia je gdzieindziej, lub na wiosnę, gdy koncert słowiczy nęci młodych i starzych. Ochotnicza straż ogniowa urządza tutaj podczas wiosny i lata kilka zabaw ludowych z muzyką i fajerwerkami. I wówczas stare szanowne ruiny, oświetlone blaskiem księżycy lub ogni bengalskich, spoglądają swymi niedosięglymi szczytami na życie nowych pokoleń, nowych zwyczajów, a słysząc nieraz obcą sobie mowę, dumają, nieme, tajemnicze swym milczeniem. A obok stare lipy wiekowe wciąż szemrzą swą pieśń przeszłości, dla obcych tak mało mówiącą i zrozumiałą a tak swojską i niewymownie drogą dla naszego serca.

Walerya Mieszkowska.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



D. 15¹b, m. w lokalu Tow. Krajoznawczego odbyło się posiedzenie Komisji Fizyograficznej pod przewodnictwem J. Lewińskiego w obecności 15 osób.

Po załatwieniu spraw bieżących wygłoszono następujące

referaty:

1. p. St. Lencewicza. W sprawie ujednostajnienia terminologii geograficznej jednostek administracyjnych kraju. Prelegent treściwie opowiedział o podziałach administracyjnych w dawnej Polsce, udowadniając, że nazywanie gubernii lub powiatu ziemią, jak się to w ostatnich czasach przyjęło w naszej prasie, jest nieuzasadnione zarówno z punktu widzenia historii jak i geografii.

W ożywionej dyskusji zabierali głos pp.: Górczyński, Jakubowski, Krzywicki, Kulwiec, Lewiński, Łopuski, Możejko, Wolski, Zakrzewski i prelegent, poczem Komisja jednogłośnie przyjęła następujący wniosek:

Wobec tego, że termin „ziemia” posiada ściśle określone znaczenie historyczne, Komisja uznaje używanie tego terminu na oznaczenie gubernii i powiatu za nieuzasadnione zarówno z punktu widzenia historii jak i geografii, i uważa, że nomenklatura geograficzna miejscowości winna być oparta na obecnym podziale administracyjnym.

2. p. L. Krzywickiego: Pilkalnie litewskie w świetle materiału kopalnego. Prelegent udowodnił na licznych, zgromadzonych przez siebie narzędziach, że istnieje w ukształtowaniu grodzisk na Żmudzi a Górnej Litwie znaczna różnica. Ale jeszcze większa w zawartości: rozkopane grodziska żmudzkie (Derbuty, Bubje, Gabryeliszkki) dostarczyły przedmiotów z metalu, znajduje się też zboże. Sięgają one w. IV—V (monety rzymskie w Gabryeliszkach). Natomiast metal zdarza się rzadko i to w górnych pokładach. W grodziskach Górnej Litwy (pow. jezioroski), narzędzia są z kamieni i kości (Dukszyty, Petraszuny, Łokupieny), zboża brak. Niepodobna dziś oznaczyć ich starożytności. Kształty wielu narzędzi kościanych wskazują, że naśladowano narzędzia z metalu, znane zapewne w dalszej okolicy. Prawdopodobnie pow. jezioroski opóźniał się w swoim rozwoju w porównaniu ze Żmudzią.

□□□□□□□□□□

Przebieg pogody w miesiącu listopadzie 1911 r.

Sprawozdanie Kom. Fizyograficznej P. T. K.

W ciągu większej części ubiegłego listopada panowała w Królestwie pogoda łagodna i sucha. Wiatry przeważały początkowo południowe i południowo-zachodnie. Temperatury dzienne trzymały się dość wysoko, a dnia 10-go przekraczały w wielu miejscach 15°C. w cieniu (maximum)). Od dnia 23-go listopada nastąpiły dość silne wiatry wschodnie i sprowadziły umiarkowanie mroźną pogodę, która trwała stale prawie do końca miesiąca. Najniższą temperaturę od 3° do 9°C. notowano w nocy dnia 29-go i 30-go.

Średnie temperatury miesięczne wahały się koło 4°C. i były o 2° wyższe od normalnych.

Trwanie usłonecznienia było też znacznie dłuższe od normalnego i wyniosło np. w Warszawie 70 g. wobec 43 godz., notowanych średnio w tym miesiącu w latach ostatnich.

Opady były skąpe i, jak na porę jesienną, nieczęste. Suma opadów wyniosła przeciętnie 31 mm. w 9—10 dniach, gdy tymczasem przez 10 lat ubiegłych było średnio po 40 mm. w 14 dniach. Znaczniejsze opady rozpoczęły się od 18-go listopada z początku w postaci deszczu, a potem w postaci śniegu, który później kilka dni zalegał pola cieniutką powłoką.

Rozmieszczenie opadów nie przedstawiało wielkich różnic i wahało się na poszczególnych stacjach w sumie miesięcznej od kilkunastu mm. w północnych częściach kraju do 50 mm. w pasie południowym.

Dane z poszczególnych stacji P. T. K.

a) Opady:

Bieliny (p. kielecki)	41	10
Św. Krzyż (p. kielecki)	27	—
Nowa Słupia (p. kielecki)	41	11
Suchedniów (p. kielecki)	29	10
Jędrzejów (p. jędrzejowski)	38	13
Wysokie (p. krasnostawski)	38	12

b) Temperatura:

Nowa Słupia: Temp. śr. mies. 4⁰,8 C. Temp. max. 13⁰, C. dnia 10-go. Temp. min. 2⁰,5 C. dnia 26-go.

c) Trwanie usłonecznienia:

Jędrzejów, 85 godzin.

□□□□□□□□□□

Jeszcze w sprawie jezior.

I.

Szanowny Panie Redaktorze!

Chciej łaskawie umieścić w „Ziemi” następujące uzupełnienie notatki mojej o jeziorze Trockiem, wydrukowanej w nrze 28-mym tego pisma. Niech to będzie zarazem odpowiedzią na list Sz. d-ra B. Dybowskiego z nru 45 „Ziemi”.

1-o Poznałem jezioro a właściwie jeziora Trockie i starałem się zbadać je, o ile się dało szczegółowo, dopiero w r. 1905, podczas przeprowadzania robót restauracyjnych w zamku na wyspie jez. Galwe, nie mogłem przeto sprostować omyłki w zamkniętym już wydawnictwie „Słownika geograficznego.

2-o Nazwy „Braźola”, stosowanej do jez. Galwe—nie spotkałem ani w opowieściach mieszkańców Trok, ani w dokumentach miejskich, ani w mapach topograficznych, ani w mapie jez. Trockich, wykończoną z najdrobniejszych szczegółami przez znanego naszego ichtyologa p. Michała Girdwoynia. Nazwa ta stosuje się—jak to już wspominałem, jedynie do malutkiego jeziora, leżącego o 1½ klm. na północ od jez. Galwe, i z niego to wypływa rzeczka Braźółka, wpadająca do Wilii. Jeziora Trockie mają dla swych wód ujście sztuczne, przez kanał przekopany 60 lat temu w celach przemysłowych kosztem hr. Józefa Tyszkiewicza. Z warunków zaś przyrodzonych są one w całym znaczeniu tego słowa bezodpływowe.

Z wysokiem poważaniem
Wandalin Szukiewicz.

II.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwól, że jeszcze raz zabiorę trochę miejsca w „Ziemi” w odpowiedzi na list p. dr. Dybowskięgo, pomieszczony w N-rze 45 tegoż tygodnika.

1) Miasto leżące nad jez. Jezierzycę, niem. Deutsch Eilau, po polsku zwie się wyłącznie Iławą, nigdy zaś J e ł a w ą (sl. Geogr. t. III, str. 263), rzeczka, wypływająca z tegoż jeziora, nosi nazwę Iławki, a następne jezioro rzez które przepływa rz. Iławka, niem. Eillensee — zwie się po polsku jez. Iławskiem.

Jez. Jezierzycę więc nie może być jez. Jeławskiem.

2) Około 3 km. na północny wschód od Świtezi nowogródzkiej, przy drodze między wsiami Miratyczami i Rusacinem, na wyniosłym wzgórzu leśnem, najwyższym punkcie w okolicy, znajduje się sygnał tryangulacyjny I klasy, zwany Miratycze, którego wzniesienie nad poziom morza, podług „kataloga trygonometrycznych punktów opredielonych w Rosii i zagranicęj” str. 470, jest 840,8 stóp angielskich czyli 12,11 sażeń czyli 256,23 metra.

Na mapie sztabowej 3-wiorstowej, rząd XVI ark. 5, podane jest wzniesienie tego punktu 120,1 saż., na austriackiej Generalkarte von Mitteleuropa sekcya 44⁰⁵³⁰ „Nieśwież”—wzniesienie tegoż punktu podane 256 m., i toż samo znajdujemy na niemieckiej Topographische Spezialkarte arkusz 163 „Nowogródek”.

Pan Bolesław Daniejko wziął więc wzniesienie najwyższego punktu w okolicy za wzniesienie poziomu wody w jeziorze.

Może być, że moje dane 195—200 m., jako wytworzone przez interpolację z kilku sąsiednich pun-

któw, jest cokolwiek za małe, za nizkie; wątpię bardzo jednak, bym się mógł więcej niż o 5 m. omylić.

3) Boję się wpaść w śmieszność, sprzecząc się o 3 m. wzniesienia Świtezi wołyńskiej, czy leży ona 163 czy 160 metrów nad poziom morza, boć to drobnotka, lecz i mapa austriacka j. w. sekcya 42⁰⁵²⁰ „Kobrin” i mapa niemiecka j. w. sekcya 318 „Włodawa” podają wzniesienie wody jeziora Świtezi wołyńskiej, przy wyjściu strugi uchodzącej do jez. Łukie—163 metry.

Mapa 3-wiorstowa, rząd XIX, arkusz 2-gi, daje wzniesienie błota Ostrowskiego, leżącego około 1,5 km. poniżej jez. Świtezi, przez które przepływa struga wychodząca z tego ostatniego, na 74,1 sażeń=158,1 metrów, a błota około jez. Łukie, leżącego niżej od Świtezi, na 75,5 sażeń czyli 161,1 metrów.

Na najnowszej mapie Uebersichtskarte der Deutsch-Russischen Grenzgebieten, bardzo pięknie i szczegółowo opracowanej, podano: jezioro Świtez 163 m., jez. Łukie 161 m., jez. Orzechowo 159 m. Jest to arkusz „Lublin”.

Racz pan przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku i poważania.

F. Witkowski.

SPROSTOWANIE.

W artykule p. Jaroszyńskiego „Wejście na Mont-Blanc” str. 753 w. 6 zamiast „Mer de Flane” być powinno „Mer de Glace” i tamże szpalta druga, wiersz 11 zamiast „gl. de Talètre” winno być „gl. de Talèfre”.

Od Administracji.

**Prosimy Sz. Czytelników, o wniesienie przedpłaty
za rok 1912.**

TREŚĆ: M. Federowski—Zygmunt Gloger. (dok.). *Maryan Wawrzeński* — Kurhan w Kowarach. T. Chrostowski—Z kolonii polskich w Paranie (dok.) (z 2 ryc). Dr. *Adryan Divéky* — Z podróży węgrom w Polsce (dok.) *Walerya Mieszkowska*—Birze (z 1 ryc.) (dok.) Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Przebieg pogody w miesiącu listopadzie b. r. Jeszcze w sprawie jezior. Poza tekstem: Z naszych krajozobrazów. 43. Wieś litewska Popilikalnis nad jeziorem Ukaj, pow. święciański. 44. Z okolic Złotego Potoku. Typy ludowe z pow. Zamoyskiego.

Winięta tytułowa i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i drukał Edmund Józłński. — Odbijał na maszynie W. Kaczorowski. — Kłose wykonano w zakładzie B. Wiersbickiego i S-ki. — Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec

